

Dariusz Gawin: Przekleństwo 1709 roku. Czy Polacy mogą wybić się na podmiotowość?

Problem w tym, że Polacy nie są małym narodem. Nie chodzi tutaj o skalę naszych ambicji czy potrzeb, ale o fakty. Polskie przekleństwo polega na tym, że Polacy znajdują się gdzieś pośrodku, między narodami wielkimi a małymi - w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: *Intelligenzaktion*. Oblicza zbrodni przypominamy tekst Dariusza Gawina, który ukazał się w 5. numerze rocznika *Teologii Politycznej* „Złoty róg, czyli nieodzyskana podmiotowość”.

Czy nie za rzadko zastanawiamy się nad polskim usytuowaniem w czasie i przestrzeni? Nad tym specyficznym miejscem na mapie Europy, które jest tłem dyskusji na temat powstań, wojen, Solidarności i pytań o polską tożsamość.

Być może zachęty do takich rozważań na temat naszego poczucia trwałości polskiej pozycji w Europie winny dostarczać nam słowa naszego hymnu narodowego. Przecież śpiewamy w nim, że „jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, a później: „przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami”. W tych kilku słowach zawiera się kluczowa dla myśli republikańskiej polityczna koncepcja narodu. Polakami jesteśmy o tyle, o ile mamy państwo, które chroni interesy wspólnoty politycznej, wspólnoty, w ramach której możemy funkcjonować jako Polacy. Te słowa powstawały na granicy epok, między I Rzeczpospolitą a XIX wiekiem z jego – z jednej strony –

romantycznym rozumieniem narodu jako wspólnoty kultury, która może istnieć także bez państwa, a z drugiej – nowoczesnym nacjonalizmem, który widział w narodzie wspólnotę przede wszystkim o charakterze etnicznym.

W refleksji nad polską tożsamością istnieje zatem od ponad dwustu lat milcząco przyjmowane założenie, iż trwałym elementem naszej sytuacji, naszego losu jest pewien zespół okoliczności historycznych, geopolitycznych i kulturowych, który można określić mianem „prześwitu ontologicznego”. Chodzi o to, że Polska jest, ale może jej nie być, że może ona „zginąć”, przestać istnieć. Na pozór wydaje się to przesadą i często taki rodzaj dyspozycji mentalnej, charakterystyczny dla Polaków, kładzie się na karb naszej skłonności do egzaltacji. Gdy jednak przyjrzymy się bliżej historii narodu w okresie, który rozpoczął się rzezią Pragi, a który sto pięćdziesiąt lat później znalazł swoją kulminację w Katyniu i Powstaniu Warszawskim, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie taki był motyw przewodni przeważającej części dziejów Polski w wieku XIX i XX. Czym bowiem było Powstanie Warszawskie, jeśli nie najbardziej dramatycznym potwierdzeniem wagi problemu istnienia i nieistnienia w polskiej historii?

Powstanie Warszawskie przychodzi na myśl w tym kontekście, bo to nie było tylko kolejne przegrane wystąpienie zbrojne Polaków. Jako jedyna zbiorowość spośród wszystkich europejskich narodów zbliżyliśmy się wówczas do granicy, którą w czasie ostatniej wojny przekroczyli tylko Żydzi. Warszawa to przypadek miasta starożytnego, które – jak Melos czy Kartagina – zostało unicestwione w wymiarze politycznym, ludzkim i fizycznym. Osobisty rozkaz Hitlera o zburzeniu Warszawy pozostaje bez analogii w najnowszej historii i odsyła nas do zdarzeń z historii starożytnej. W tym sensie powstańcza Warszawa to wspólnota

polityczna – wspólnota obywatelska, posiadająca również organicznie związany z wymiarem obywatelskim wymiar militarny i polityczny. W Warszawie oprócz Armii Krajowej ujawniły się bowiem również cywilne władze Państwa Podziemnego, wsparte spontanicznie przez setki tysięcy mieszkańców stolicy. W granicach zakreślonych przez powstańcze barykady istniało *de facto* – choć w czasach PRL nie wolno nam było tak o tym myśleć – wolne państwo polskie, wolna III Rzeczpospolita, bo tak przecież właśnie nazywalibyśmy twór, który objawił się 1 sierpnia w stolicy, gdyby historia potoczyła się inaczej.

Od czasów antycznych filozofowie polityki wiedzieli też, że spektrum ludzkiego świata zawiera się pomiędzy dwiema skrajnościami – wolnością a tyranią. Zbrodnia Warszawy polegała na tym, że – jak mówił w transmitowanym ze stolicy przemówieniu radiowym delegat rządu na kraj, Jan Stanisław Jankowski-Soból – „chcieliśmy być wolni i wolność sobie samym zawdzięczać”. Zetknięcie idei wolności z dwoma totalitaryzmami musiało doprowadzić do eksplozji, w której Warszawa nie tyle przegrała Powstanie, ile po prostu przestała istnieć. Los Warszawy w 1944 roku nie tłumaczy się tylko naszym położeniem geopolitycznym. Nie chodzi tutaj wyłącznie o usytuowanie kraju między Niemcami i Rosją, choć naturalnie ten aspekt naszej sytuacji cały czas jest istotny (niezależnie od poprawności politycznej, wywierającej nacisk na naszą debatę publiczną, zawsze należy podkreślać ten prosty fakt, że Polska leży między Rosją i Niemcami, a nasze relacje z bezpośrednimi sąsiadami na wschodzie – takimi jak na przykład Ukraina – są funkcją tej prostej konstatacji). Chodzi przede wszystkim o to, że Polska od dwóch-trzech stuleci leży na przecięciu potężnych wektorów działających w skali **powszechnodziejowej**. W tej perspektywie „Niemcy” i „Rosja” to nie tylko nazwy dwóch mocarstw, które wpłynęły na kształt geopolitycznego porządku świata w XX wieku. Są to pewne skrótowe nazwy na określenie dwóch wielkich

kultur europejskich, w których zrodziły się dwa najstraszliwsze totalitaryzmy w najnowszej historii. Pierwsza wojna światowa, rewolucja bolszewicka jako konsekwencja załamania caratu, narodziny nazizmu jako niemiecka odpowiedź na klęskę, totalitarna inżynieria Stalina i Hitlera, ludobójstwo jako instrument uprawiania polityki, wybuch II wojny światowej, która szybko przekształciła się wojnę totalną, Holocaust, Katyń i Auschwitz. Warszawa to pierwsza ofiara Hitlera, miasto bombardowane już w 1939 roku na skalę przekraczającą wielokrotnie dramat hiszpańskiej Guerniki, miasto przez kilka tygodni broniące się przed najeźdźcą, potem miasto ulicznych egzekucji, tortur na Szucha, miasto największego getta okupowanej Europy i Umschlagplatzu. I wreszcie miasto powstania 1944 roku, gdzie przez pięć powstańczych dni na Woli eksterminowano 50 tysięcy ludzi. Mówimy nieprecyzyjnie „rzeź Woli”, tak jak „rzeź Humania”. To nie była „rzeź” Woli – to była **zagłada** Woli. To był największy pojedynczy akt eksterminacji, ludobójstwa, dokonany w czasie II wojny światowej przez Niemców na ludności innej niż żydowska. Potem znowu lata powojenne, opór, kolejne „polskie miesiące” lat 1956, 1968, 1976, 1980, wielki ruch Solidarności i Jan Paweł II, w końcu wreszcie upadek komunizmu w 1989 roku i narodziny wolnej Polski.

Kiedy zatem przywołujemy poszczególne epizody historycznego dramatu, który rozgrywał się tutaj w ciągu ostatnich ponad dwustu lat, nie chodzi nam o kolejny lament nad pasmem nieszczęść, tragedii i krzywd, które dotknęły ludzi żyjących gdzieś na przecięciu dziejowych wektorów kreślonych w Petersburgu, Berlinie czy Moskwie. Chodzi o trzeźwe uchwycenie skali tych wydarzeń, o prostą konstatację faktu, że ten dziejowy dramat narastał i rozgrywał się właśnie tutaj, w tej części Europy, na której rozpościerała się niegdyś nasza I Rzeczpospolita. Bo narastał on przecież od wieku XVIII, a kulminację znalazł właśnie w wieku XX, w epoce Katynia i Auschwitz.

„Gdzie zaszeregować Polaków?”

Jeśli pod takim kątem spojrzeć na naszą kulturę narodową ostatnich dwustu kilkudziesięciu lat, można dostrzec, że Polacy chcieli dać wyraz doświadczeniu wzbierającej fali radykalnego zła, którą dostrzegali w sposobie, w jaki Berlin i Petersburg, wspierane przez Wiedeń, prowadziły politykę w tej części Europy. Ten ton daje się odczuć zarówno w literaturze konfederacji barskiej, jak i u Mickiewicza, Krasińskiego, Sienkiewicza czy Żeromskiego – aż po Borowskiego, Miłosza i Herlinga-Grudzińskiego. Przyzwyczajeni jesteśmy do patrzenia na ten wątek jako na pasmo cierpień i heroizmu; sposobów dystansowania się od niego, autoironii nauczyliśmy się z kolei od Gombrowicza, Mrożka czy Wajdy. Zapominamy jednak o tym, że ten łańcuch wydarzeń posiadał także istotny wymiar uniwersalny, że ścierały się ze sobą siły, wartości i postawy ważne nie tylko w naszym lokalnym wymiarze, ale – jak pokazał wiek XX – także w wymiarze powszechnym. I zapominamy również często, że byliśmy nie tylko ofiarami tych wydarzeń, lecz także ich pełnoprawnymi uczestnikami.

W sierpniu 1944 roku w Paryżu Andrzej Bobkowski z bezsilną rozpaczą komentował w swoich *Szkicach piórkiem* wiadomości nadchodzące z Warszawy – w tym samym czasie, gdy stolica Francji czekała na zbliżające się czołgi amerykańskie, polska stolica znalazła się w śmiertelnym uścisku między Hitlerem i Stalinem. Bobkowski tak streszczał sens tej dziejowej pułapki: „Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciałaby być. Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. Niemcy na pożegnanie, Rosjanie na powitanie”[1] (podkr. oryg. – D.G.). W tym jednym zdaniu kumuluje się cały sens nigdy do końca nie

wyartykułowanego problemu – jest oczywiste dla nas, że Bobkowski używa do oddania swoich emocji wielkich liter, a przecież jednocześnie nie pisze wprost, na czym owo stale powracające „to samo” polega i w obliczu czego Polacy są zawsze koniec końców osamotnieni. „To samo” – czyli stale powtarzająca się sytuacja graniczna, w której z całą mocą jak w złym śnie widać, że los Polski znajduje się w jakimś punkcie, gdzie możliwe jest tylko „albo-albo”, nie zwycięstwo lub klęska, lecz istnienie lub nieistnienie, w punkcie, gdzie widać, jak polski los migocze i chwieje się pod wpływem dynamicznego ruchu dziejów.

Może ktoś powiedzieć, że sytuacja „prześwitu ontologicznego” jest typowa dla małych narodów, szczególnie tych żyjących w naszej części Europy. Głosy takie często słyhać w różnych dyskusjach. Za każdym razem, gdy mowa o obronie naszych interesów, za wzór realizmu stawia się nam Czechów, pisze się o zapobiegliwości Bałtów czy o słowackiej roztropności, za sprawą której Słowacja wprowadziła euro wcześniej od nas. Małych narodów nie stać na gesty, powstania i bohaterszczyznę, nie stać na obronę „pierwiastka”, prawdziwe bezpieczeństwo energetyczne czy silną armię. Małe narody muszą być rozsądne, muszą ćwiczyć trudną sztukę mimikry, aby omijał je wzrok drapieżników historii. Przymuszone zaś do kapitulacji, zawsze potrafią obronić „substancję”, nazywając to koniecznym kompromisem, lub też sławić zalety posiadania ciepłej wody w kranie, mówiąc o roztropanym liberalizmie.

Problem w tym, że Polacy nie są małym narodem. Nie chodzi tutaj o skalę naszych ambicji czy potrzeb, ale o fakty. Polskie przekleństwo polega na tym, że Polacy znajdują się gdzieś pośrodku, między narodami wielkimi a małymi. I nigdy nie będą tacy jak Czesi, Belgowie czy Litwini. Przywołajmy politycznie niepoprawne dzisiaj pojęcie z

dyskursu dziewiętnastowiecznej historiografii – pojęcie narodu historycznego. Polacy byli i pozostają takim właśnie narodem, narodem, który przez setki lat miał własne państwo, własną kulturę wysoką, tworzoną już od XVI wieku w języku narodowym, własne instytucje świeckie i kościelne, własne życie obywatelskie. To właśnie odróżnia nas nie tylko od Słowaków czy Rumunów, lecz także od Czechów czy Litwinów. Jedne z tych narodów przed XX wiekiem nigdy nie miały własnego państwa – jak Słowacy czy Łotysze, inne wprawdzie posiadały swe państwa, lecz utraciły je wraz z narodowymi elitami na setki lat przed narodowym odrodzeniem – jak Czesi czy Litwini. Sięgnijmy do obcego autora, bo trudno go przecież posądzić o stronniczość. Mirosław Hroch, wybitny czeski historyk, w pracy *Małe narody Europy* przedstawia rzetelną i pogłębioną typologię „małych narodów”, takich jak Baskowie, Białorusini, Bretończycy, Bułgarzy, Chorwaci, Czesi, Estończycy, Finowie, Flamandowie, Galisjanie, Grecy, Irlandczycy, Katalończycy, Litwini, Łotysze, Macedończycy, Norwedzy, Serbowie, Serbowie Łużyccy, Słowacy, Ukraińcy, Węgrzy i Walijszczy. Na końcu rozdziału omawiającego podstawowe założenia pracy umieszcza podrozdział „Ponad poziomem małego narodu albo: gdzie zaszeregować Polaków?” [2]. Zwraca się przy tym do polskiego czytelnika, który – jak się domyśla – zadaje sobie pytanie, dlaczego w tym towarzystwie zabrakło Polaków, których walka z uciskiem narodowym w XIX wieku stanowiła wzorcowy przykład ruchu narodowego. Hroch udziela prostej odpowiedzi – przypadek polski nie pasuje do zbudowanej przez niego typologii małych narodów, ponieważ Polacy byli narodem państwowym, posiadali własną kulturę wysoką w języku narodowym oraz uformowaną elitę polityczną i narodową. Chociaż zatem, z powodu utraty państwa i konieczności walki o nie, znaleźli się w podobnej sytuacji, co wymienione wcześniej małe europejskie narody, to jednak ich położenie, jak zauważa Hroch, przypomina raczej położenie takich dużych narodów jak Włosi czy Niemcy. Zarówno Niemców, jak i Włochów dotyczył ten problem, że

choć posiadali wysoką kulturę tworzoną w narodowym języku oraz wykształcone klasy wyższe, nigdy nie żyli w jednym państwie, dlatego też podstawowym celem działań każdego z tych dwóch narodów w wieku XIX było polityczne zjednoczenie. Oba też – z powodu innych okoliczności politycznych (silne Prusy oraz walka tylko z jednym wrogim mocarstwem, czyli Austrią, w przypadku Włoch) – swój cel, cel zjednoczenia, osiągnęły wcześniej niż Polska. Uwaga Hrocha jest o tyle słuszna, że Polacy mieli własne państwo nieprzerwanie od czasów Mieszka I do trzeciego rozbioru (zaś własną armię regularną nawet trochę dłużej, bo od Mieszka do upadku powstania listopadowego), a choć je utracili, i tak przetrwała wspólnota polityczna Polaków – poczucie wspólnej tożsamości kulturowej, wspólnych interesów politycznych, świadomość solidarnego działania w nowych warunkach.

A jednak tylko nam przydarzyło się nieszczęście rozbiorów. Jako jedyny naród historyczny straciliśmy państwo – nawet Hiszpania czy Turcja, inne zdetronizowane mocarstwa nowożytne, które nie odnalazły się w nowej rzeczywistości europejskiej *Realpolitik* wieku Oświecenia, nie przypłaciły okresu politycznego upadku utratą formalnej niepodległości (inna to kwestia, czy Hiszpania poradziłaby sobie lepiej od Polski, gdyby zamiast Atlantyku i Morza Śródziemnego miała za sąsiadów Prusy i Rosję). Pomijam tutaj kwestię dyskusji na temat przyczyn tego wydarzenia. Nie chodzi mi także o to, że rozbiorcy były krzywdą, niesprawiedliwością wołającą o pomstę do nieba – były, ale cóż to znaczy w logice wielkiej polityki. W przypadku rozbiorów chodzi raczej o trzeźwą ocenę tego wydarzenia jako pozostającego bez precedensu w nowożytnej historii Europy. Otóż to – bez precedensu. Od zawsze bowiem zdarzały się w Europie podboje i aneksje, granice zmieniano też przez szczęśliwe koligacje rodzinne – w tej kategorii nikt nie mógł równać się z domem Habsburgów. Jednak tym razem nie dzielono między siebie „ludności” znajdującej się we władaniu jakiejś

historycznej rodziny książęcej, którą spotkała polityczna plajta, lecz dosłownie, bo taka przecież była litera konwencji rozbiorowych po 1795 roku, unicestwiano polityczny naród. To nie była krzywda – to był skandal, to była drastyczna **nieciągłość**, której cofnięcie musiało stać się jednym z najważniejszych motywów polityki europejskiej na przyszłość. I tak trzeba postrzegać rozbiory: jako złowrogą zapowiedź nadciągającej przyszłości. Tak właśnie sprawę rozbiorów widziały niektóre najwybitniejsze umysły dziewiętnastowiecznej Europy. Przytoczmy choćby opinię Lorda Actona: „Aż dotąd żaden naród nie został pozbawiony bytu politycznego przez mocarstwa chrześcijańskie, a przy całym lekceważeniu uczuć i interesów narodowych starano się jednak maskować niesprawiedliwość fałszywą przykrywką jakichś prawnych chwytów. Ale rozbiór Polski był aktem bezwstydnego przemocy popełnionym nie tylko wbrew powszechnym odczuciom, ale wbrew prawu powszechnemu. Pierwszy to raz historia nowożytna ujrzała obalenie wielkiego państwa i podział żyjącego w jego granicach narodu między jego wrogów”[3].

„Chory człowiek” kontynentu

Mocarstwa dokonujące rozbiorów posługiwały się argumentem „równowagi”, balansowania interesów[4]. Tkwił w tym zarodek postrzegania każdorazowo odrodzonej Polski jako elementu „nierównowagi”, elementu dysfunkcyjnego. Przyzwyczajeni jesteśmy do opisywania rozbiorów jako procesu „wymazywania Polski z mapy Europy”. Nie o metafory jednak chodzi ani o alegoryczne obrazy, jak choćby ten ze sztychu „Kołacz królewski” Nicolasa Noëla Le Mire’a, przedstawiającego alegorię pierwszego rozbioru, na którym załamany król Stanisław August łapie się za głowę (tyle tylko może zrobić król Polaków – zdobyć się na teatralny gest), a Fryderyk II, caryca Katarzyna

i cesarz Józef II wskazują te kawałki z polskiego „tortu”, które biorą dla siebie; sztychu znanego każdemu polskiemu dziecku, bo od pokoleń reprodukuje się go w podręcznikach historii. Podkreślmy to raz jeszcze – w 1795 roku Berlin, Petersburg i Wiedeń wyobrażały sobie, że Polaków i Polski już więcej nie będzie. Po prostu. Nieodwołalnie i na zawsze. Kolejne dwieście lat to uporczywa walka z tym skandalicznym błędem w ocenie realnej zdolności Polski do istnienia. Bo spośród narodów historycznych tylko Polakom zdarzyło się w czasach nowożytnych to, że stracili państwo i byt niepodległy, a w pewnych momentach swojej historii mogli nawet przestać istnieć fizycznie – a jednak Polska nie tylko przetrwała, lecz odradzała się ciągle na nowo. To nie jest dowód na wzruszające umiłowanie Ojczyzny. To dowód na to, że ci, którzy sądzili, że lepiej byłoby dla nich, aby Polski nie było, mylili się w sposób skandaliczny; że byli ślepi na fakty i głusi na argumenty i choć zawsze potrafili swoją wolę uzasadnić w jakiś sposób, który w danym momencie historii uznawano za bardzo racjonalny, filozoficzny czy naukowy (ćwiczenie intelektualne, które brali na warsztat tak różni autorzy jak Wolter, Dostojewski czy Róża Luksemburg), to koniec końców okazywali się pogrążeni w odmętach tępego irracjonalizmu pozostającego na usługach jakiejś tyranii.

Jesteśmy zatem zawieszani pomiędzy pierwszą i drugą ligą europejską – i to jest trwała sytuacja, a zarazem trwały nasz kłopot. Wynika to z faktu, że nie istnieliśmy jako państwo przez cały XIX wiek, kiedy w Europie ustalały się hierarchie w każdej dziedzinie – politycznej, militarnej, kulturowej. Pierwsze dwa wymiary historycznej rzeczywistości są oczywiste. Zastanówmy się nad wymiarem trzecim, biorąc pod uwagę kwestię nauki i jej zaplecza. Przez cały wiek XIX powstawały pewne kanony pisania o historii Europy, w których rozdawano trwałe role – jedne narody były swoistą awangardą historii, inne ponosiły zasłużone (w oczach zwycięzców) porażki. Budowano

pojęcia badawcze, stawiano hipotezy, tworzono szkoły historyczne i socjologiczne, powstawały i rozwijały się tradycje intelektualne. W całym tym ogromnym procesie byliśmy obecni w niewielkim stopniu. Jeśli w ogóle jakaś wiedza na temat Europy Środkowej zdobywała sobie trwałe miejsce w świadomości wykształconych Europejczyków, to była to wiedza kształtowana za pośrednictwem niemieckich, austriackich czy rosyjskich uczonych. To oni mieli katedry, uniwersytety, instytucje, które mogły być instytucjonalnymi partnerami dla uczonych ze świata. W pokoleniu romantyków jeszcze można było liczyć na wpływ błyskotliwych jednostek – wystarczy przypomnieć prelekcje paryskie Mickiewicza. W drugiej połowie XIX wieku sytuacja stała się już jednak dramatyczna – po wojnie francusko-pruskiej 1870 roku zmieniło się nastawienie opinii publicznej na Zachodzie do sprawy polskiej. Stało się tak przede wszystkim we Francji, która w Rosji widziała głównego potencjalnego sojusznika w nieuchronnym przyszłym starciu ze zjednoczonymi przez Bismarcka Niemcami. Dopiero II Rzeczpospolita zaczęła odrabiać straty pod tym względem, lecz – niestety – jej praca została przerwana – przez kolejny nawrót „tego samego”, o którym pisał Bobkowski. Okres PRL z przyczyn oczywistych także nie poprawił sytuacji w tym zakresie. Weźmy pierwszy z brzegu przykład – przez dziesięciolecia mylono Powstanie Warszawskie z powstaniem w getcie warszawskim, ponieważ państwo polskie, zamiast łożyć środki na rozwój historiografii, która mogłaby przekazywać wiedzę o walce stolicy w 1944 roku na cały świat, prześladowało policyjnymi metodami pamięć o tych wydarzeniach.

Po 1989 roku wysiłki w tej sferze idą opornie – albo jesteście spychani do rzędu krajów o wiele mniejszych, albo podejmujemy grę, żeby dostać się do klubu tych paru państw, które współtworzą kierunek Europy. A wielcy unijnej wspólnoty są do Polski w roli jednego z liderów Europy po prostu nieprzyzwyczajeni. Polska dostała czas – nie wiadomo, jak

długi – na przekonanie wielkich europejskich graczy, że mamy prawo aspirować do roli ważnego, silnego kraju w tej części Europy. Ponieważ jednak przez ostatnie stulecia Polska jako podmiot polityczny decydujący sam o sobie, samodzielnie określający swoje interesy i samodzielnie też ich broniący istniała w sumie tylko czterdzieści lat, zachodnie wielkie narody mają naturalną – i przyznajmy, z historycznej perspektywy całkiem zrozumiałą – skłonność do traktowania Polski jako elementu dysfunkcyjnego, niepasującego do porządku europejskiego, jeśli sam chce negocjować zasady swojego w nim udziału. Tak było już od końca XVII wieku, gdy ustalał się nowy ład Europy, z którego wypadały takie dawne potęgi jak Hiszpania, Turcja, Holandia czy Polska właśnie, a na scenę wchodziły Prusy i Rosja. Polska wtedy – na długo przed rozbiorami – stała się, niczym Turcja, „chorym człowiekiem” kontynentu, który „stał nierzędem”, był synonimem anachronicznego ustroju i byle jakiej cywilizacji. Z pewnością wad było wiele, ale też wiele musieli się napracować różni sprzedajni a błyskotliwi filozofowie wieku świateł w rodzaju Woltera, żeby stworzyć taki klimat intelektualny, w którym polityczna zbrodnia rozbiorów wydawała się tylko beznamiętną egzekucją wyroku wydanego już wcześniej przez historię.

Tak samo było po I wojnie światowej, gdy dobrze znany od kilku pokoleń koncert europejskich mocarstw rozpadł się na kakofoniczny jazgot nowej Europy zbudowanej w oparciu o Wilsonowską zasadę samostanowienia narodów. W gronie sezonowych państw umieszczano także i to nad Wisłą, którego granice uznano za przesadnie rozciągnięte z krzywdą dla Niemców, Ukraińców, Litwinów i Białorusinów (tak jakby Polska mogła być wówczas Polską tylko w Warszawie, Krakowie i Radomiu). Ci nieznośni Polacy, którzy sami tyle opowiadali o swoich krzywdach, a którzy przecież tak bardzo krzywdzili wszystkie

mniejszości dookoła... – ileż razy ten ton słychać było przed wojną. Tak, Europa funkcjonowałaby niczym dobrze naoliwiony mechanizm, gdyby nie kilka źle działających elementów – zdawano się sugerować.

Tak samo jest i teraz, po 1989 roku, gdy do dobrze znanego projektu europejskiego dołączyły państwa zza żelaznej kurtyny, w tym naczelny *trouble maker* tego grona – Polska, która w kółko czegoś chce, okazuje niewdzięczność i wszysklich szantażuje swoją „historyczną wrażliwością” wynikającą z dawnych krzywd. Wrażliwi, ba! – nawet przewrażliwieni jesteśmy na pewno, jednak nie ma to nic do rzeczy, gdy trzeźwo ocenimy rozmiary naszego kraju, liczbę ludności, wielkość rynku wewnętrznego, skalę gospodarki. Jeśli tak spojrzeć na całą sprawę, widać, że Polska nie ma „wrażliwości” – Polska ma przede wszystkim interesy wynikające z jej skali oraz usytuowania. Interesy, które powinny być brane pod uwagę przez inne duże kraje europejskie, decydujące o polityce wewnątrz Unii. Bo właśnie o politykę tu przede wszystkim chodzi, o to, w jakim kierunku będzie ewoluował projekt europejski, jak będą płynąć w jego granicach strumienie zobowiązań i korzyści, jak będą budowane wspólne bezpieczeństwo i wspólny rozwój. Trzeba przy tym pamiętać, że uprawianie polityki to zajęcie zarezerwowane w ramach Unii dla najsilniejszych graczy, owych kilku państw tworzących nieformalny klub liderów Unii, swoisty – jak czasem określa się to grono – „dyrektoriat”. To oni *przewodzą* europejskiemu projektowi, inni – mniejsi i słabsi – raczej *podążają* w kierunku przez nich wytyczonym. W tym sensie polityka w Europie zarezerwowana jest dla najsilniejszych; reszcie pozostaje zarządzanie, dopasowywanie się do realiów, zażarta konkurencja, aby odnieść jak najwięcej korzyści. Prawda, te reguły są o niebo lepsze od tych, jakie funkcjonowały w wieku XVIII, XIX czy przez większość wieku XX. Silniejsi nie grożą słabszym ani najazdem, ani okupacją czy terytorialnymi podbojami. Czy znaczy to jednak, że polityka przestała już być obszarem

rywalizacji, sporu, a nawet konfliktu? Powtórzmy: nie ma nic nienaturalnego w fakcie, że Polskę traktuje się jako element dysfunkcyjny tej sytuacji – przemawiają za tym ostatnie dwa stulecia, w trakcie których istnienie państwa polskiego było raczej wyjątkiem niż regułą. Chodzi jednak o to, aby ten stan zmienić, aby nasi zachodni partnerzy przyzwyczaili się do myśli, że Polska powróciła i że ten fakt wymaga nie tyle naszego dopasowania do nich, ile dopasowania wzajemnego i wzajemnego wysiłku.

Niestety, wielu ludzi w Polsce nie jest przyzwyczajonych myśleć o naszym kraju w taki sposób. Znaczna część opiniotwórczych elit wyobraża sobie Polskę jako powiększone nieco Królestwo Kongresowe, kraj wielkości mniej więcej Czech lub Węgier, dla którego już samo zaproszenie do europejskiego klubu jest historyczną szansą. Ciągłe można bowiem spotkać u nas nie tylko publicystów, lecz także polityków, którzy każdą pomoc i każde dobrowolne ustępstwo Berlina czy Paryża (dobrowolne – czyli niebędące wynikiem negocjacji) przyjmują ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem jako dowód łaskawości i pamięci. Tak jakby rozszerzenie Unii nie było dobrym interesem dla obu stron. Polska może – to prawda – zdefiniować samą siebie jako kraj mały, pozbawiony aspiracji do uczestnictwa w europejskim „dyrektoriacie”, może „podążać”, a nie „przewodzić” w ramach europejskiej rodziny narodów. Co więcej – może zostać za taki wybór również wynagrodzona. Wielkość projektu europejskiego polega na tym, że także „podążanie” za silniejszymi jest opłacalne. Chodzi jednak o skalę korzyści. Lepiej bowiem stanąć do rywalizacji o setki miliardów niż o dziesiątki, lepiej być „producentem” niż „odbiorcą” europejskiego projektu. Poza tym pozostaje jeszcze przedziwny polski niepokój, który każe pytać o bezpieczeństwo, o polskie usytuowanie w czasie i przestrzeni, za sprawą którego co jakiś czas wydarzają się tutaj rzeczy przekreślające wszelkie rachuby i racjonalne plany.

Przełomowy rok 1709

Powróćmy do problemu usytuowania Polski w czasie i przestrzeni. „Prześwit ontologiczny”, o którym wcześniej była mowa, nie sprowadza się w przypadku Polski do problemu istnienia czy posiadania własnego państwa, jak w przypadku małych narodów. Dochodzi tutaj czynnik dodatkowy, niewystępujący w przypadku Słowaków czy Łotyszy. Chodzi mianowicie o wyzwanie podmiotowości. Dla małego narodu istnienie jest już sukcesem historycznym; dla dużego, jak w przypadku Polaków, to dopiero pierwszy krok. Czesi czy Litwini mogli stracić język i własną kulturę w zasadzie niepostrzeżenie, dla nich odrodzenie narodowe przyszło niemalże w ostatniej chwili; w naszym przypadku brak państwa nie był śmiertelnym zagrożeniem dla języka i kultury, lecz przeszkodą w ich nieskrępowanym rozwoju – przecież Polaków trzeba by po prostu wszystkich pozabijać, żeby w Wigilię nie śpiewali kolęd (choć trzeba pamiętać, że zdarza nam się ocierać o próg zagłady – jak choćby podczas pierwszych dni Powstania Warszawskiego, gdy Niemcy zorganizowali ludobójstwo na Woli)! Każdy z trzech zaborców dostał tylko fragment całości, a i tak nawet te wielkie imperia nie były w stanie strawić swej zdobyczy przez ponad sto lat. Co prawda, jak powiedzieliśmy, w czasie ostatniej wojny Polacy otarli się o próg zagłady, ale przecież go nie przekroczyli. Owo ontologiczne migotanie istnienia i nieistnienia w przypadku Polski dotyczy zatem przede wszystkim polskiej polityczności, tego, że Polska może być podmiotem, lecz częściej bywa przedmiotem w szerszej skali europejskiej historii. Usytuowanie naszego kraju w czasie i przestrzeni jest zaś takie, że przecinają się tutaj nie tylko interesy mocarstw, lecz także – jak to nazwaliśmy – trudno uchwytnie, lecz stale wyczuwalne wektory potężnych sił kształtujących dramat dziejowy ostatnich stuleci. Aby

radzić sobie w takim położeniu, nie wystarczy własne państwo, własna niepodległość – trzeba czegoś więcej: trzeba właśnie podmiotowości. Rozwińmy to pojęcie.

W polskim myśleniu o państwie i nowoczesności na ogół posługujemy się cezurą rozbiorów. Jest to perspektywa zbyt wąska. Nie pozwala ona dostrzec tego, że karta dziejowa, którą obecne pokolenie Polaków odwraca, nie zaczęła się w czasie rozbiorów, lecz w czasie wojny północnej. I momentem historycznym, do którego powinniśmy się odwoływać jako do groźnego *memento*, nie jest rok 1795, lecz 1709. Chodzi tutaj o bitwę pod Połtawą, po wygraniu której Rosja trwale zdominowała Polskę i cały region Europy Środkowo-Wschodniej. To dlatego Połtawa stanowi symboliczną cezurę w historii ostatnich trzystu lat. Doskonale rozumieją to Rosjanie. W zeszłym roku Władimir Putin sugerował ponoć Ukraińcom zorganizowanie wspólnych obchodów. Połtawa leży bowiem na terenie dzisiejszej Ukrainy, jednak Juszczenko woli, na szczęście, obchody bitwy pod Konotopem z 1659 roku – starcia, w którym hetman kozacki Iwan Wyhowski, wspomagany przez wojska polskie i tatarskie, rozgromił armię rosyjską dowodzoną przez księcia Trubeckiego. Rosjanie już uczynili świętem narodowym rocznicę wygnania Polaków z Kremla w 1612 roku; jak widać, nie zapomnieli zwycięstwa odniesionego przez Piotra Wielkiego nad Karolem XII. W tej rocznicy nie chodzi jednak o Szwedów, choć to oni przegrali w 1709 roku. Stawką w tej grze jest to, kto ułoży politycznie i cywilizacyjnie cały ten wielki obszar Europy, który rozpościera się między Polską a Rosją.

W naszych rozważaniach rok 1709 jest istotny dlatego, że symbolizuje moment utraty przez Polskę realnej podmiotowości politycznej. Używając tradycyjnego języka polityczności, można sens tego

wydarzenia określić w ten sposób, iż Polska w wyniku wojny północnej utraciła tradycyjnie rozumianą suwerenność. Po wojnie północnej mieliśmy wprawdzie państwo formalnie niepodległe, nie mieliśmy jednak suwerenności, nie byliśmy już podmiotem politycznym, staliśmy się przedmiotem w grze prowadzonej przez obcych. Próby odzyskania tej podmiotowości – dzieło pokolenia Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 maja – zakończyły się niepowodzeniem, czego konsekwencją był ostatni rozbiór z 1795 roku i utrata formalnej niepodległości. Warto zatem zapamiętać tę sekwencję: Polacy najpierw utracili podmiotowość, a potem dopiero niepodległość. Dopiero gdy w taki sposób spojrzymy na dynamikę wydarzeń XVIII wieku, we właściwym kontekście ukazuje nam się pytanie o naszą podmiotowość dzisiaj: w 1989 roku odzyskaliśmy bowiem niepodległość, ale czy wraz z niepodległością odzyskaliśmy podmiotowość?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, musimy poświęcić nieco uwagi wydarzeniom sprzed trzystu lat. Sama bitwa pod Połtawą i wojna północna to okres historyczny, który nie zadomowił się jakoś szczególnie w polskiej pamięci. Jeśli chodzi o wiek XVIII, dużo bardziej wyraziście rysuje się nam przed oczami epoka stanisławowska wraz ze swoim dramatycznym finałem w postaci konstytucji 1791 roku, Targowicy, wojny w jej obronie, powstania kościuszkowskiego i w końcu ostatniego rozbioru. Pierwszą połowę stulecia skrywa zaś mgła banału o „czasach saskich”. To jednak tam właśnie tkwią korzenie narodowej klęski. Wyliczmy symboliczne daty z końca XVII i początku XVIII wieku, w których streszcza się zapowiedź ponurej przyszłości. Rok 1696 – śmierć Sobieskiego, po której następuje długie, pełne chaosu i intryg bezkrólewie, zakończone wyniesieniem na tron Augusta II Mocnego w 1697 roku. Jego kontrkandydat, Francuz – książę Conti, dostał wprawdzie więcej głosów, ale Sas uzyskał poparcie Piotra Wielkiego. Z carem Rosji zaczął też paktować przeciwko Szwecji, snując plany

zdobycia dla Wettinów – jako dziedzicznego lenna – Inflant. Do antyszwedzkiej koalicji weszły także Dania, Saksonia i Rosja. Rzeczpospolita formalnie miała pozostać neutralna. To założenie rychło legło jednak w gruzach, gdy młody Karol XII okazał się – ku zaskoczeniu wszystkich – znakomitym wodzem. Pokonał Duńczyków, rozbił Rosjan pod Narwą (1700). Wkrótce wkroczył do – cały czas formalnie neutralnej – Rzeczpospolitej, zajmując Warszawę. Polska, choć oficjalnie nie była stroną w wojnie, stała się teatrem działań wojennych, cierpiąc zniszczenia, gwałty i rekwizycje, rujnujące i tak już przecież zrujnowany po serii wojen z drugiej połowy XVII wieku kraj. Szala zdaje się teraz przechylać na stronę Szwedów. Karol wysuwa własnego kandydata do tronu polskiego, Stanisława Leszczyńskiego, popartego przez konfederację warszawską. Zwolennicy Augusta zawiązują własną – w Sandomierzu, szukając wsparcia u cara rosyjskiego. Szwedzi przeprowadzają koronację Leszczyńskiego (sejm elekcyjny odbył się pod Warszawą w szwedzkim obozie wojskowym w roku 1705). August zrzeka się korony polskiej (1706). Przez cały ten czas trwa zarazem wojna partyzancka prowadzona przez zwolenników konfederacji sandomierskiej przeciwko Szwedom i przeciwko zwolennikom konfederacji warszawskiej – czyli *de facto* wojna domowa. Na północy Rzeczpospolitej operują wojska rosyjskie walczące ze Szwedami i Sasami. W kraju wzmaga się chaos i bezprawie. W 1708 roku wielka, czterdziestotysięczna armia szwedzka rusza na Rosję, a 8 lipca pod Połtawą zostaje ona całkowicie rozgromiona przez wojska rosyjskie pod wodzą Piotra Wielkiego i przestaje praktycznie istnieć. To jest punkt zwrotny całego konfliktu.

August Mocny swój powrót na tron zawdzięcza Rosji – traktując jako niebyłą swoją abdykację, powraca w 1709 roku do kraju, zawierając w Toruniu traktat z Piotrem I, w którym czyni go swoim rzeczywistym protektorem. Tę specjalną pozycję Rosji w sprawach polskich

potwierdza sejm z 1717 roku, ten sam, na którym uchwalono zaciąg wojska koronnego na śmiesznym poziomie 24 tysięcy i na którym bezczelne ingerencje ambasadora Dołgorukiego stanowiły tylko wstęp do przyszłych wyczynów Repnina z czasów Poniatowskiego. Wojna wprawdzie toczy się do 1721, kiedy to zostaje zawarty pokój w Nystad, jednak pokój ten przypieczętował tylko faktyczną hegemonię Rosji w rejonie Bałtyku i w Rzeczypospolitej.

Od tej pory Rzeczpospolita – formalnie niepodległa, posiadająca króla, sejm i senat, wojsko i monetę – staje się satelitą Rosji, w którym coraz większą rolę zaczynają odgrywać też intrygi pruskie (austriackie nie były nowością – dom rakuski intrygował tu już od stuleci). Dwa wydarzenia, które miały miejsce w cieniu wojny północnej, uzyskują w tej perspektywie wyjątkową wymowę: w 1701 roku, korzystając z chaosu wywołanego wojną, elektor brandenburski Fryderyk III koronuje się w Królewcu na króla jako Fryderyk I (dla zachowania pozorów jako „król w Prusach” a nie „król Prus”, bowiem ten drugi tytuł jest od 1466 roku oficjalnym tytułem króla Polski), zaś w roku 1703 rozpoczyna się na właśnie zdobytym dla Rosji wybrzeżu Bałtyku budowa Twierdzy Pietropawłowskiej – moment ten uznaje się za początek historii Petersburga (w twierdzy tej będzie w przyszłości więzionych wielu Polaków, m.in. Tadeusz Kościuszko). Dalsze dzieje – jak choćby narzucenie przez Petersburg Augusta III na tron polski w 1733 roku wbrew woli większości, która znów wybrała Leszczyńskiego, antyrosyjska konfederacja dzikowska z 1734 roku zawiązana w jego obronie (w jakiejś mierze prefiguracja konfederacji barskiej), rządy ambasadorów rosyjskich, przemarsze wojsk w czasie wojny siedmioletniej (choć oficjalnie Rzeczpospolita była neutralna), praktycznie stała obecność wojsk rosyjskich w kraju, wybór osobistego

faworyta carycy Katarzyny, Poniatowskiego, na króla – układają się w logiczny ciąg wydarzeń prowadzących do nieuchronnego finału roku 1795.

Przeczytaj cały tekst *Przekleństwo 1709 roku. Czy Polacy mogą wybrać się na podmiotowość?*

[1] A. Bobkowski, *Szkice piórkem*, Warszawa 1988, s. 425.

[2] M. Hroch *Małe narody Europy. Perspektywa historyczna*, tłum. G. Pańko, Wrocław-Warszawa-Kraków 2003, s. 75 i n.

[3] Lord Acton, *O narodzie*, [w:] tegoż, *Historia wolności. Wybór esejów*, wybór i wstęp P. Śpiewak, tłum. A. Branny, A. Gowin, P. Śpiewak, Kraków 1995, s. 105.

[4] Najpełniejszą rekonstrukcję motywów mocarstw rozbiorowych dał w swej fundamentalnej pracy amerykański historyk Robert H. Lord – zob.: R.H. Lord, *Drugi rozbiór Polski*, tłum. A. Jaraczewski, Warszawa 1973.